

JERZY SIEWIERSKI

**DUCHY
W HARROW MANOR**



FIKCJE I FAKTY 03 KAW WARSZAWA 1984

- Duchy? Nie mówcie mi o nich! Te wszystkie historie o duchach są okropnie monotonne i mało pomysłowe. I zawsze bywają to opowieści z drugiej albo trzeciej ręki. Ktoś znał kogoś, którego ciotka... i tak dalej... Wiecie chyba, o co mi chodzi?

Stanley zapalił cygaro i popatrzył na nas wojowniczo. Jak zwykle uważał za stosowne mieć odrębne zdanie i demonstracyjnie się nim popisywać.

Był grudniowy wieczór i siedzieliśmy jak co tydzień we czwartki w klubie przy Bond Street, którego członkiem byłem już od lat prawie dwudziestu. Za oknami panowała typowa dla tej pory roku pogoda. To tylko na kartach powieści angielskich grudzień przysypany jest puszystym, nieskazitelnie białym śniegiem, który skrzy się milionami iskierek w promieniach słońca. W rzeczywistości o tej porze roku pogoda na Wyspach jest zwykle paskudna. Siąpi wtedy deszcz, a wszystko zasnuwane jest burymi mgłami i przeniknięte ohydłą wilgocią. Wiatry zaś bywają wówczas wyjątkowo nieprzyjemne.

I tego wieczora londyńskie ulice zalewane były potokami deszczu i wymiatane porywami przenikliwego wichru. Za to w naszym starym klubie było jak zwykle cicho i przytulnie. Dobroczytny gaz dawał przyjemne i ciepłe oświetlenie, ogień na kominku pozwalał zapomnieć o chłodzie panującym za szczelnie zasłoniętymi pluszowymi kotarami oknami, a głębokie i wygodne fotele nakłaniały do leniwego wypoczynku. Jak się często w takie wieczory zdarzało, po wyczerpaniu najnowszych ploteczek o znajomych i znajomych ktoś zaczął wspominać jakąś zasłyszaną historyjkę o niewytłumaczalnych zjawiskach, sugerujących istnienie nadnaturalnej, duchowej siły zdolnej czasem manifestować swą obecność.

I to właśnie wywołało wojowniczą uwagę Stanleya.

Herbert, któremu Stanley przerwał dość zresztą nieskładnie snutą opowieść, stropił się nieco.

- Nie masz chyba racji, Stanleyu - powiedział - istnienie duchów, a ściślej mówiąc różnych ponadnaturalnych manifestacji zostało dawno udowodnione. Nie mówiąc już o takich sławnych widmach jak szary chłopiec z Surrey czy duch lady Beatrix w St. Medows. Wystarczy wspomnieć tylko o ostatnich badaniach prowadzonych przez Towarzystwo Metapsychiczne w domach, w których straszy. Badano te sprawy bardzo starannie, wykluczono wszelkie możliwe naturalne przyczyny i stwierdzono, że istnieją domy, w których nie sposób spokojnie spędzić nocy. Profesor Lund mógłby ci powiedzieć niejedno na ten temat...

Wezwany w ten sposób przez Herberta do udzielenia pomocy profesor Lund, znakomity etnograf, a zarazem ważna figura we władzach Towarzystwa Metapsychicznego, był starym członkiem klubu i od czasu do czasu czynił nam zaszczyt, przyłączając się do pogawędek prowadzonych w naszym ścisłym kółku. Teraz siedział jednak milczący, jakby nieobecny.

Stanley, widząc, że Herbert pozostaje osamotniony, nie myślał ustąpić:

- Domy, w których straszy? Bzdura, mój chłopcze! Słyszałem o starym domu na wybrzeżu Walii. Istniało w nim podziemne przejście łączące posiadłość z miejscowym cmentarzem. Krążyła legenda, że w tym przejściu zamordowano kiedyś rozbójnika, którego duch miał odtąd włóczyć się po piwnicach. Prawie co noc dochodziły stamtąd jakieś tajemnicze szmery, hałasy, a nawet jakby jakieś pijackie przyspiewki. Właściciel domu był bardzo dumny ze swego ducha i chętnie o nim opowiadał. Aby zrobić mu przyjemność, goście musieli zapewniać gospodarza, że te nocne hałasy wywierają na nich niesamowite wrażenie...

Pewnego razu jednak wszystko to skończyło się nagle i raz na zawsze. W tym samym czasie usunięto ze służby w tym domu kamerdynera, który już zbyt często zaglądał do kieliszka i zupełnie opuścił się w obowiązkach. Potem okazało się, wyznała to pokojówka, której ów kamerdyner nie dotrzymał obietnicy małżeństwa, że to właśnie on, stary pijanica, całymi latami buszował po piwnicach, spijał wino prosto z beczek - bo trzeba wam wiedzieć, że w tym domu starodawnym zwyczajem przechowywano wino w beczkach - i po pijanemu

wyprawiał najrozmaitsze brewerie, które składano potem na konto owego widma...

Uśmiechnęliśmy się słuchając tej zabawnej historyjki, a Stanley, zachęcony naszą aprobatą, tokował dalej:

- Kiedy słyszę, jak ktoś opowiada o nawiedzonym domu, to mówię mu tak: Kup, przyjacielu, porządne pułapki na szczury i wyłóż trutki. Najczęściej te wszystkie niespokojne poltergeisty mają spiczaste pyski, ostre zęby i bardzo długie ogony...

Skończył, zaciągnął się dymem z cygara i powiódł po nas triumfalnym spojrzeniem.

Jego pewność siebie wywołała moją przekorę. Jakoś nigdy nie mogę zdobyć się na pełną aprobatę ludzi, którzy nie dopuszczają do siebie ani cienia myśli, że wygłaszane przez nich sądy nie są jednak prawdami objawionymi i mogą budzić wątpliwości.

- Nie wiem, jak bywa najczęściej z nawiedzonymi domami - powiedziałem - ale zdarzają się wypadki zupełnie niewytłumaczalne. Sam zresztą zetknąłem się z czymś takim. I muszę wam wyznać, że długo nie potrafiłem o tym doświadczeniu zapomnieć...

- Jeżeli w tym domu nie było szczurów - stanowczo oznajmił Stanley - a tego właściwie nie można zupełnie nigdy wykluczyć, to prawdopodobnie były tam przeciągi. W starych domach, a straszy przecież tylko w starych budowlach, jest mnóstwo rozmaitych przewodów kominowych i wentylacyjnych, często już nieczynnych, o których istnieniu nikt nie pamięta. Nie macie pojęcia, co potrafią zdziałać przeciągi... Prądy powietrza krążące w starych przewodach mogą spowodować tak niesamowite odgłosy, że...

- W tym wypadku, Stanleyu, z pewnością nie były to przeciągi ani szczury. Charakter zjawisk, które występowały w tym domu, zupełnie wykluczał możliwość takiego tłumaczenia. Mogę wam zresztą opowiedzieć, co mnie tam spotkało. Oczywiście, jeżeli uznacie, że może to być interesujące...

Wszyscy, łącznie z demonstrującym sceptyczny uśmieszek Stanleyem, wyrazili chęć wysłuchania tej historii, więc rozpaliwszy porządnie fajkę, zacząłem opowieść.

- Zdarzyło się to jesienią roku 1883 w Glebshire, a ściślej w niewielkiej wiosce opodal St. Mary's Moor. Ten nawiedzony dom nazywał się Harrow Manor i zbudowano go gdzieś za czasów królowej Anny...

- Ach, Harrow Manor! - przerwał mi milczący dotąd Pearcy. - Bardzo piękny dom! Postawiono go chyba około roku 1710. To doskonały przykład ówczesnej wiejskiej architektury...

Pearcy był zapalonym wielbicielem starożytności i miał skatalogowaną w pamięci chyba większość starych angielskich budowli. Spojrzałem na niego pytająco, a on uśmiechając się przepraszająco, powiedział:

- Nie przeszkadzaj sobie, Haroldzie... Tak mi się tylko wyrwało. Przepraszam.

Skinąłem głową i kontynuowałem opowieść:

- Dom był stary, bardzo ładny i jak już mówiłem, nawiedzony. Ale żebyście zrozumieli, jak doszło do tego, że się w nim znalazłem w listopadzie roku 1883, muszę się cofnąć w jeszcze odleglejszą przeszłość. W Eton przyjaźniłem się z niejakim O'Toole'em. Walter był Irlandczykiem i bardzo poczciwym chłopiskiem. Przez kilka lat dzieliliśmy jedną sypialnię. Potem nasze drogi rozeszły się. Ja znalazłem się w Cambridge, a Walter, który nie zdradzał zbyt wielkiego zamiłowania do łaciny i greki, wylądował w Sanhurst. Od czasu do czasu pisywaliśmy do siebie, ale jak to najczęściej bywa w takich wypadkach, zdarzało się to coraz rzadziej i rzadziej. W końcu całkowicie zaprzestaliśmy korespondencji.

Potem dochodziły do mnie tylko sporadyczne, raczej przypadkowe wieści o jego losach. Walter, skończywszy Sanhurst, objął służbę w pułku kawaleryjskim, który stacjonował w Bengalu, i to na samym pograniczu. Ranny w czasie wojny z Afganami, otrzymał odznaczenie za męstwo okazane w tej kampanii. Był więc dobrym żołnierzem, a że znałem jego inteligencję i zdolności, wydawało mi się, że droga kariery wojskowej stoi przed nim otworem. Byłem pewien, że jeżeli zdarzy mi się go kiedyś po latach spotkać, będzie z pewnością nosił

generalski mundur.

Jakież więc było moje zdziwienie, gdy po jakimś czasie powiedziano mi, że odszedł ze służby. Przyczyną gwałtownego załamania się jego wojskowej kariery było niefortunne małżeństwo. Znacnie wszyscy obyczaję panujące w naszej armii, a zwłaszcza w elitarnych pułkach kawaleryjskich ze starą tradycją. Pewnych postępów nie wybacza się tam nigdy, nawet najzdolniejszym i najmężniejszemu oficerom. Walterowi nie wybaczone małżeństwa. Początkowo próbował walczyć, ale presja otoczenia i dokuczliwe szykany, których nie szczędzili mu przełożeni, złamały tego dzielnego człowieka. Po roku zmagania podał się do dymisji, którą skwapliwie przyjęto.

Jego winą było to, że niepomny tradycji obowiązujących w pułku, poślubił nie jakąś posażną pannę, która potrafiłaby wywieść swój ród od czasów zamierzchłych, ale dziewczynę miejscową, tubylkę.

Takie związki, tolerowane od biedy w służbie cywilnej czy wśród podoficerów, są czymś absolutnie niedopuszczalnym w korpusie oficerskim. Zgorszenie i oburzenie było więc ogromne. I nic tu nie pomogło, że dziewczyna była podobno bardzo piękna i wykształcona, a Walter poznał ją w zupełnie nieprawdopodobnie romantycznych okolicznościach. Dowodzony przez niego patrol rozgromił bandę thugów, którzy właśnie zamierzali uśmiercić ową dziewczynę w sposób szczególnie okrutny. Chcieli ją spalić na stosie, choć wcale nie była wdową, które w Indiach często bywają narażone na tego rodzaju śmierć... Thugowie przywiązali dziewczynę do jakiegoś drzewa, obłożyli całą górą suchego chrustu i przystroili w trzy wieńce z kwiatów lotosu.

- Trzy wieńce z kwiatów lotosu? Na pewno trzy? - przerwał mi z nagłym zainteresowaniem profesor Lund, w którym zapewne obudził się etnograf...

- Tak mi właśnie opowiadano, panie profesorze. To zapewne jakiś barbarzyński rytuał...

- Właśnie... słyszałem o czymś takim... - Profesor pokiwał w zamyśleniu głową, pyknął z fajki i w milczeniu oczekiwał dalszego ciągu opowieści.

- Walter zjawił się dosłownie w ostatniej chwili, kiedy thugowie zabierali się już do podpalania stosu. Ale wszystko skończyło się szczęśliwie. Omdlała z przerażenia dziewczyna, której Walter osobiście rozciął więzy, po ocuceniu podziękowała mu piękną angielszczyzną za ocalenie, a po miesiącu odbył się ich ślub.

Po wystąpieniu z wojska Walter pozostał w Bengalu. Podjął pracę jako skromny urzędnik w służbie cywilnej. Tu jego małżeństwo było co prawda tolerowane, ale trudno powiedzieć, żeby nie utrudniało mu życia. Mimo swych niewątpliwych zdolności nie miał właściwie żadnych perspektyw awansu.

Podobno niewiele się tym przejmował i uważał, że jest szczęśliwy, szczególnie gdy żona urodziła mu córeczkę.

Idylla ta jednak skończyła się wkrótce, i to wielkim nieszczęściem. Thugowie nie zapomnieli o niedoszłej ofierze. Gdy pewnego dnia Walter wrócił z podróży służbowej, pełna niepokoju służba powiadomiła go o tajemniczym zniknięciu żony. Ostatni raz widziano ją w wigilię jego przyjazdu, około południa, jak się przechadzała, nucąc jakąś piosenkę, alejkami ogrodu, który otaczał ich dom. I właśnie w tym ogrodzie znaleziono ją w końcu w wyniku długich poszukiwań, nakazanych przez zrozpaczonego Waltera. Jej ciało było starannie ukryte w gąszczu kolczastych krzewów. Udużono ją splotami trzech wieńców z kwiatów lotosu. Wieńców identycznych z tymi, jakie nosiła na szyi, gdy Walter ocalił ją od śmierci. Coroner stwierdził, że śmierć pani O'Toole nastąpiła w wyniku zbrodniczego działania jakiejś nieznannej osoby lub osób, ale nikt nie miał wątpliwości, że była to sprawka tych samych fanatycznych thugów, którzy już raz próbowali się z nią rozprawić.

Dowiedziałem się o tej przerażającej historii od znajomego, który gdy się to wszystko wydarzyło, przebywał w Indiach, gdzie sprawa ta była wtedy bardzo głośna. Głęboko współczułem dawnemu przyjacielowi i było mi przykro, że oddalony o tysiące mil, nie mogę mu w

żaden sposób pospieszyć z pomocą czy choćby ze słowami pociechy, które w takich sytuacjach szczególnie się liczą. Zajęty jednak swoimi sprawami, szybko zapomniałem o nieszczęściu Waltera. Byłem przekonany, że pozostał w Indiach i najprawdopodobniej nie spotkam go już nigdy.

List, jaki od niego otrzymałem w październiku roku 1883, był dla mnie ogromnym i bardzo miłym zaskoczeniem. Walter pisał, że właśnie niedawno powrócił na stałe do Anglii i ktoś ze znajomych dał mu mój adres. Mieszkał wraz z córką w pięknym starym domu, który kupił nad morzem w Glebshire w okolicach St. Mary's Moor. Zapewniał, że przez wszystkie lata, które minęły, nieraz mnie wspominał, a teraz, kiedy znowu znaleźliśmy się nie tak daleko od siebie, byłby szczęśliwy, gdyby udało nam się odnowić starą przyjaźń. W zakończeniu bardzo miłego listu zapraszał mnie serdecznie do odwiedzenia go w jego wiejskiej samotni, w której moglibyśmy powspominać dawne dobre czasy.

Gdy czytałem ten tak bardzo serdeczny i bezpośredni list, ożyły wszystkie wspomnienia o od dawna nie widzianym przyjacielu, miałem przed oczami jego roześmianą, poznaczoną piegami irlandzką głowę, przypomniał mi się charakterystyczny akcent i tembr jego głosu. Wszystko to było tak wyraźne, jakbym rozstał się z Walterem nie przed dwudziestu laty, ale dopiero wczoraj.

Nie miałem żadnych konkretnych planów na najbliższą przyszłość ani obligujących zobowiązań towarzyskich, przyjąłem więc zaproszenie z radością. Odpisałem Walterowi jeszcze tego samego dnia. W kilka dni później otrzymałem potwierdzenie odbioru listu i któregoś wieczoru w pierwszych dniach listopada znalazłem się na dworcu Victoria, by zająć wygodne miejsce w przedziale pierwszej klasy pociągu do Polchester. W Polchester miałem przesiąść się do kolejki łączącej to miasto z St. Mary's Moor. Podróż była dość długa i chyba męcząca, ale nie zwróciłem na to większej uwagi. Przez cały czas zaprzątnięty przywoływaniem wspomnień o przyjacielu, którego miałem wkrótce uściskać, bez większych kłopotów dotarłem na miejsce.

Dom, w którym Walter mieszkał, wywarł na mnie bardzo korzystne wrażenie. Ta piętrowa, otoczona pięknym parkiem budowla miała w sobie jakiś dostojny i pogodny spokój, który sprawiał, że człowiek przekraczający jej próg odnosił ledwo uświadamiane przekonanie, iż w tym miejscu nie może go spotkać nic przykrego. Zapamiętałem tak dobrze to nieuchwytnie, przelotne wrażenie chyba tylko dlatego, że tak bardzo kontrastowało z tym, co później przeżyłem pod dachem Harrow Manor.

Walter przyjął mnie bardzo serdecznie. W pierwszej chwili byłem nieco przerażony zmianami, jakie zaszły w jego wyglądzie. Nie chodziło już nawet o to, że jego bujna ruda czupryna mocno się przerzedziła i poszarzała - zapewniał mnie, że było to przede wszystkim wynikiem wieloletniego noszenia korkowego kasku - a niegdyś różowa cera przybrała odcień miedzi, jak to się zwykle dzieje u ludzi, którzy długie lata spędzili w koloniach, ale o to, że z jego twarzy zniknął bez śladu ten tak dlań charakterystyczny nastrój wewnętrznej pogody i optymizmu. Na obliczu Waltera wypisana była tragedia, jaką przeżył. Nawet ktoś, kto nic nie wiedział o losach mego przyjaciela, musiał, patrząc na niego, domyślać się, że człowiek ten nie miał łatwego życia. Niemało czasu minęło, zanim przyzwyczałem się do nowego wyglądu mego przyjaciela.

Zainstalowano mnie na piętrze. Pokój, który oddano do mojej dyspozycji, był nieduży, ale przyjemnie umeblowany i na szczęście nie było w nim tych wszystkich indyjskich szkaradzieństw, których tak serdecznie nie cierpię. Chodzi mi o te okropne brązowe statuetki wielorękich bogów i bogiń poskręcanych konwulsyjnie i wpatrujących się w nas z przyklejonymi do koszmarnych twarzy bezmyślnymi, ale zarazem okrutnymi uśmieszkami. Domy ludzi, którzy przez jakiś czas mieszkali w Indiach, z reguły pełne są takich paskudztw. Ich dumni właściciele każą nam je podziwiać, a my chcąc okazać się grzeczni, udajemy zachwyt dla tych okropieństw. Jadąc do Harrow Manor oczywiście nie rozmyślałem na te tematy, ale

widać podświadomie spodziewałem się zastać tego rodzaju pamiątki w domu mego przyjaciela, gdyż dobrze zapamiętałem uczucie ulgi, jakie mnie ogarnęło, kiedy zauważyłem, że nie tylko w moim pokoju, ale i w pozostałych pomieszczeniach nie ma śladu czegoś podobnego. Wnętrze wyglądało tak, jak powinno wyglądać w porządnym angielskim, nieco zaniedbanym domu na wsi, a nie jak w muzeum osobliwości czy orientalnej świątyni jakiegoś barbarzyńskiego kultu.

Jedynym sygnałem wskazującym na związek mieszkańców tej siedziby z perłą naszego imperium była puszysta skóra tygrysia, rozpostarta przed kominkiem w salonie.

Przed tym właśnie kominkiem zasiedliśmy z Walterem po kolacji do butelki whisky. Rozmowa nie kleiła się zbyt. Jadąc do Harrow Manor byłem przekonany, że z łatwością znajdę wspólny język z moim przyjacielem. Tymczasem okazało się, że na razie niewiele mamy sobie do powiedzenia. Sprawiała to zapewne bariera czasu, która nas od siebie oddzieliła.

Po pierwszym okresie ożywionego i dosyć chaotycznego wspomniania najrozmaitszych wydarzeń z odległej przeszłości, urozmaiconego sprzeczkami o niezbyt dobrze lub odmiennie zapamiętane szczegóły, rozmowa zaczęła przygasać. Po prostu nie bardzo wiedzieliśmy, o czym mamy ze sobą mówić. Sytuację pogarszało jeszcze, że krępowałem się pytać o to, co mnie naprawdę interesowało, a więc o historię tak tragicznie zakończonego małżeństwa Waltera. Zdawałem sobie doskonale sprawę, że rozdeptywanie świeżych jeszcze ran byłoby wyjątkowo nie na miejscu, a Walter nie zdradzał żadnej ochoty do opowieści o tych wydarzeniach. Mówiąc o swoim pobycie w Indiach, nie uczynił nawet najmniejszej aluzji do swego małżeństwa.

W końcu jednak zdecydowałem się zapytać o córkę.

W jego martwych oczach, w których kiedyś płonęły iskierki przekornej wesołości, dostrzegłem teraz błysk nagłego ożywienia.

- Ach, Lilith! Oczywiście, że jest ze mną. Poznasz ją jutro. To naprawdę słodkie i kochane dziecko... - zamilkł na chwilę, a potem powiedział cicho: - Wiesz, stary, ona jest dla mnie właściwie wszystkim. Wszystkim, co mi drogiego pozostało... - Opuścił wzrok i, wyraźnie zażenowany swym niespodziewanym wyznaniem, począł gwałtownie grzebać pogrzebaczem w kominku. Po chwili znowu podniósł na mnie spojrzenie i rzekł: - Poznasz ją jutro. Sam się przekonasz, jaka to miła i dobrze wychowana dziewczynka... Przyjechałeś zbyt późno. Lilith położyła się już spać... Nie czuła się chyba dziś zresztą najlepiej. Widzisz - dodał, a w jego głosie wyczułem ton zaniepokojenia - ona ostatnio, niestety, często czuje się nie najlepiej. I to mnie bardzo niepokoi... Pocieszam się, że jest to tylko przejściowe. Wiesz, gwałtowna zmiana klimatu i tak dalej... Dla delikatnego organizmu dziecka urodzonego i wychowanego w Indiach pierwsze spotkanie z naszym kochanym angielskim klimatem musi być porządnym wstrząsem... Wydaje mi się także, że Lilith przeżywa trochę rozstanie z Indirą. To chyba zresztą było nieuniknione... Dzieci są tak wrażliwe i tak przywiązują się do osób, z którymi stale przebywają...

- Kto to jest ta Indira?

- Jej piastunka. Bengalka oczywiście. Była przy Lilith od chwili urodzenia... Została oczywiście w Džaraiphur. Przez pewien okres myślałem, żeby ją zabrać do Anglii, lecz szybko z tego zrezygnowałem. Indira była na miejscu w tamtym świecie, w tamtym domu... Wydało mi się jednak, że nie pasowałyby zbyt do tego wszystkiego tu - wymownym gestem wskazał wnętrze salonu - poza tym, wyznam ci, że jednym z ważniejszych powodów, dla których zdecydowałem się po tylu latach na powrót, było pragnienie, żeby Lilith wychować na prawdziwą angielską miss. - Przecież w spojrzeniu Waltera, gdy to mówił, wyczytałem gorącą prośbę o zaakceptowanie jego punktu widzenia - Lilith j e s t A n g i e l k ą... a tam, w Bengalu, zawsze, na każdym kroku przypomniano by jej o mieszanym pochodzeniu. Rozumiesz więc chyba - powiedział to tak, jakby się przed kimś usprawiedliwiał - dlaczego

zdecydowałem się, że pozostawimy Indirę w Dżaraiphur. Wiedziałem, że Lilith przeżyje mocno to rozstanie, ale nie umiałem znaleźć innego wyjścia. Musiałem je rozdzielić...

- I miałeś rację!- wykrzyknąłem - dziewczynce potrzebna jest niewątpliwie nie kolorowa piastunka, która z pewnością opowiadała jej różne barbarzyńskie bajki, ale solidna angielska guwernantka, który by ją nauczyła wszystkiego, co powinna umieć dobrze wychowana angielska panienka...

- Otóż to! - podchwycił skwapliwie Walter. - Niestety polega jednak na tym, że mam ogromne kłopoty z guwernantkami. Zdawało mi się zawsze, że pojęcie „angielska guwernantka” jest synonimem rzetelności i poczucia obowiązku. Okazało się jednak, że nie bardziej mylnego! Jesteśmy w Anglii dopiero od miesiąca, a już trzy wychowawczynie przewinęły się przez ten dom... Ostatnia opuściła nas przedwczoraj... Nie masz pojęcia, jakie to kłopotliwe... Lilith potrzebna jest przecież kobieca opieka. Na szczęście jutro przyjeżdża nowa guwernantka. Ma najlepsze świadectwa, jakie można sobie wyobrazić. Zresztą rozmawiałem z nią osobiście. Wywarła na mnie jak najlepsze wrażenie.

Wygląda jak uosobienie zdrowego rozsądku, opanowania i odpowiedzialności... Mam nadzieję, że tym razem się nie zawiodę. Panna Alice chyba zaaklimatyzuje się w naszym domu...

- Czy nosi okulary, jest starannie zapięta pod szyję i przypomina zasuszony eksponat z muzeum historii naturalnej? Jeżeli tak, to wszystko będzie raczej w porządku? - zauważyłem żartobliwie.

Roześmiał się, a ja z przyjemnością stwierdziłem, że choć przez chwilę podobny był do dawnego Waltera.

- Muzealnego eksponatu chyba nie przypomina, ale nosi okulary...

- W ostateczności i to powinno wystarczyć... - powiedziałem ze sztuczną powagą - bądź dobrej myśli, stary...

Od tego momentu rozmowa nasza stała się żywsza i bardziej swobodna, choć w zasadzie to raczej ja opowiadałem mu o sobie, a Walter ograniczał się tylko do zadawania pytań i króciutkich komentarzy do tego, co usłyszał.

Rozstaliśmy się bardzo późno, już chyba po północy.

Wróciwszy do swego pokoju, spostrzegłem, że do roznieconego tam wcześniej ognia nikt nie dorzucił paliwa. Kominek wygasł i w sypialni panował przenikliwy ziąb. Rozebrałem się więc szybko, położyłem do łóżka i zdmuchnąłem świecę. Choć zwykle bardzo trudno zasypiam na nowym miejscu, tym razem byłem tak utrudzony podróżą, że prawie natychmiast zapadłem w głęboki, pozbawiony jakichkolwiek marzeń sen.

Nie wiem, co mnie właściwie obudziło. Nie był to chyba żaden szmer czy hałas. Po gwałtownym ocknięciu się byłem od razu zupełnie przytomny i pilnie wsłuchiwałem się w ciemność. Jedynym dźwiękiem, jaki odnotowałem w świadomości, było miarowe tykanie mego zegarka, który jak zwykle, układając się do snu, położyłem na nocnym stoliku.

Nie! Z pewnością to, co mnie obudziło, a miałem dogłębne przeświadczenie, że zostałem przez coś obudzony, nie było szmerem czy innym dźwiękiem. Było to przemożne i natrętne wrażenie czyjejś obecności w moim pokoju. Nic nie słyszałem i nic nie widziałem, gdyż kominek od dawna wygasł i wokół panowała głęboka ciemność, a mimo to byłem święcie przekonany, że gdzieś w pobliżu czai się żywa istota, a co więcej, że obserwuje mnie z wielkim zainteresowaniem.

Nie powiem, że bym czuł strach. Wtedy nie bałem się jeszcze. W ogóle nie przyszło mi do głowy, że jest to coś, czego można się obawiać. Byłem po prostu zaskoczony tą dziwną nocną wizytą.

W pewnej chwili odniosłem dojmujące wrażenie, że owa nie widziana przeze mnie istota zbliżyła się jeszcze bardziej i stoi tuż obok mego łóżka. Jednocześnie poczułem zapach.

Delikatny, ale wyraźny... choć trudny do zidentyfikowania. Coś jakby woń kadzidła zmieszana z zapachem, jaki niekiedy wydzielają te szkatułki z egzotycznego drewna, które można kupić w antykwariatach lub podziwiać w mieszkaniach ludzi powracających z kolonii. I wtedy po raz pierwszy poczułem niepokój.

- Jest tu kto? - zapytałem, a głos mój w tej absolutnej ciszy zabrzmiał nieprawdopodobnie głośno.

Odpowiedziało mi całkowite milczenie,

Sięgnąłem ręką po zapalki, które leżały na nocnym stoliku, obok lichtarza. Wymacałem je w ciemności. Dwie pierwsze nie chciały się palić. Potarte, rozbłyskały niebieskim płomieniem, który jednak gasł natychmiast, jakby przez kogoś zdmuchnięty. Świecę udało mi się zapalić dopiero trzecią zapalką. W tej samej chwili, gdy ciepłe światło płomyka świecy wydobyło z mroku wszystkie szczegóły wnętrza pokoju, zrozumiałem, że istota, której obecność wyczuwałem jeszcze przed chwilą, właśnie mnie opuściła. Dlatego fakt, że nikogo nie zobaczyłem, nie był dla mnie zaskoczeniem.

- Jeśli myślisz, Haroldzie - wtrącił Stanley, korzystając z krótkiej przerwy, jaką zrobiłem w swojej opowieści - że to, o czym nam opowiadasz, przekonało mnie choć w najmniejszym stopniu do istnienia duchów i nawiedzonych domów, to jesteś w błędzie... Byłeś wtedy, stary, mocno zmęczony podróżą, podekscytowany spotkaniem z od dawna nie widzianym przyjacielem i wypiełeś o jedną czy dwie whisky za dużo. Kiedyś, po wieczorze spędzonym w wesołym towarzystwie, obudziłem się nagle w środku nocy i możesz mi wierzyć albo nie, lecz byłem święcie przekonany, że jestem lisem, którego za chwilę dopadną psy gończe... To było tak realne i przerażające doznanie, że jeszcze w tej chwili robi mi się nieprzyjemnie na jego wspomnienie... Innym znowu razem...

- Troszkę cierpliwości, chłopie - przerwałem - jeszcze nie skończyłem. Posłuchaj, co było dalej... Otóż już w chwilę po zapaleniu świecy pomyślałem akurat to samo, co ty mi teraz sugerujesz. Sądziłem, że uległem jakiemuś nedorzecznemu złudzeniu. Dziwaczne wrażenia, które tak dobrze zapamiętałem, były bardzo ostre, wyraźne, ale przecież nie mogły mieć nic wspólnego z rzeczywistością... Okno i drzwi były zamknięte od wewnątrz, sprawdziłem to natychmiast, a w niewielkim pokoju z pewnością nikogo poza mną nie było. Na wszelki wypadek trochę się wstydząc samego siebie, zajrzałem nawet pod łóżko i do szafy. Po chwili byłem w zupełności pewien, że wszystko rozegrało się w mojej, nie wiedzieć czemu, pobudzonych wyobraźni. O duchach nawet nie pomyślałem. Wtedy jeszcze nie... Zgasilem świecę i z powrotem znalazłem się w łóżku. Wkrótce usnąłem i spałem spokojnie aż do samego rana.

Obudziłem się stosunkowo późno. Przez jakiś czas marudziłem, być może oczekując kogoś, kto zjawi się z wiadomością, że czas już schodzić na śniadanie, ale nie doczekałem się nikogo. Zszedłem więc sam. I wtedy właśnie w pełnym świetle dnia zauważyłem coś, na co wieczorem nie zwróciłem uwagi. Otóż powiedziałem już wam, że Harrow Manor prezentował się właśnie tak, jak powinien wyglądać nieco zaniedbany angielski dom na wsi. Chodzi mi oczywiście o tę miłą atmosferę trochę zaniedbanej codzienności, która tak różni wiejskie siedziby od wyblyszczonych salonów miejskich rezydencji. Gdy zszedłem rano na parter, odniosłem wrażenie, że tej niedbałości jest w Harrow Manor po prostu nieco za wiele, że zbyt zbliża się ona do tego, co już nie jest swojską niedbałością, ale zwyczajnym zapuszczeniem. Mówiąc po prostu, dom aż się prosił o solidne posprzątanie. Zauważyłem, że kurze nie są porządnie wytarte, na ścianach obok złoconych ram obrazów pojawiły się delikatne zaczątki pajęczyn i nie znalazł się nikt, kto by się zdecydował zeszkrobać z parkietów grudki wosku, który nakapał ze świeczników. Pomyślałem, że służba w Harrow Manor okropnie zaniedbuje swoje podstawowe obowiązki. Na miejscu Waltera z pewnością bym tego nie tolerował.

I rzeczywiście. Stan, w jakim znajdował się ten piękny, stary dom, wiązał się z problemem służby. Dowiedziałem się tego od Waltera już na początku rozmowy, jaką wkrótce rozpoczęliśmy. Spotkałem przyjaciela przy drzwiach jadalni.

- Witaj, Haroldzie! - powiedział uśmiechając się z lekkim zażenowaniem. - Przepraszam serdecznie, że nikt cię nie zawiadomił o śniadaniu, ale właśnie ze śniadaniem były dziś poważne kłopoty. Na szczęście już po wszystkim i za chwilę je podadzą...

- Kłopoty ze śniadaniem? - zdziwiłem się, zupełnie nie pojmując, co takiego Walter może mieć na myśli.

- Ścisłej – wyjaśnił - kłopoty ze śniadaniem są pochodną o wiele poważniejszych kłopotów ze służbą. Tutejsza służba jest okropna! Zupełnie nie wiem, co mam z tym wszystkim robić! - poskarżył się żałośnie i bezradnie rozłożył ręce...

Roześmiałem się serdecznie.

- Musisz się na nowo przyzwyczaić do starego kraju i zapomnieć o Indiach. Tam zapewne otaczał cię tłum wiernych ciemnoskórych służących, którzy czekali tylko na najmniejsze skinienie, aby natychmiast zaspokoić najdziwniejsze nawet zachcianki mądrego sahiba... Zapomnij o tym. Tu jest Anglia. Nasi służącym to urodzeni lenie i rozpuszczone nygusy. W dodatku ostatnimi czasy okropnie zdemoralizowani przez niemądrą agitację liberałów. Zamiast o wypełnianiu obowiązków myślą o powszechnym prawie wyborczym i temu podobnych mrzonkach. Ale jest na to rada. Trzeba po prostu trzymać ich mocno w garści i nigdy nie popuszczać cugli. Na usługach tych ludzi można polegać tylko wówczas, gdy dobrze znają swoje miejsce i nie próbują spoufalać się z nami. Wtedy jest wszystko w porządku. Mogę cię zapewnić, że nigdy nie mam żadnych kłopotów ze śniadaniem...

Uśmiechnął się gorzko:

- Masz rację, Haroldzie, jest tylko pewna maleńka trudność. Można coś trzymać mocno w garści tylko wtedy, jeśli się to coś ma. Tymczasem kłopot polega nie na tym, że kucharka opóźniła się z przygotowaniem grzanek, ale na tym, że obecnie w Harrow Manor w ogóle nie ma kucharki. Odeszła właśnie wczoraj...

- Ach, teraz rozumiem. To rzeczywiście poważny kłopot. Może ją chyba jednak ktoś chwilowo zastąpić... aż do czasu, gdy zaangażujesz nową...

Smutny uśmiech nie zniknął z twarzy Waltera.

- Widzisz, sprawa nie jest taka prosta. Nie bardzo kto ma zastąpić kucharkę. Właściwie wszyscy odeszli. Została jedynie głupawa pokojówka, na której głowę w ciągu ostatnich dni spadło zbyt wiele obowiązków, aby się mogła w nich nie pogubić. Musi być sprzątaczką, kucharką, pomywaczką i kamerdynerem zarazem... Aha, gdy odeszła guwernantka, spadło na nią także obsługiwanie Lilith...

Na szczęście najgorsze mamy już poza sobą. Dziś wczesnym rankiem zawitała do nas panna Alice. To ta nowa guwernantka, o której ci wczoraj wspominałem... Jest naprawdę kapitalna! Byłem pełen obaw, że gdy zorientuje się w sytuacji, jaka tu ostatnio panuje, nawet nie zechce rozpakować walizek... Na szczęście okazała się bardzo energiczna i zaradna. Z miejsca postanowiła tu wprowadzić jaki taki porządek, co zresztą wcale nie należy do jej obowiązków. Wzięła do galopu tę głupowatą dziewczynę i zagoniła Kate do roboty. Dzięki temu będziemy mogli zjeść śniadanie. Mam nadzieję, że i później nie umrzemy z głodu. Jestem zachwycony panną Alice. Zresztą za chwilę ją zobaczysz, Lilith naturalnie też. Czeka ją na nas w jadalni.

Panna Alice wyglądała tak, jak powinna wyglądać dobra, wzbudzająca zaufanie guwernantka. Ubrana była oczywiście na czarno, bez żadnych ozdób. Nosiła okulary, miała końskie zęby, końską szczękę i była wyjątkowo brzydka. Ale jednocześnie promieniowała z niej energia, pewność siebie i zaradność. Wobec nas była nieco sztywna i zachowywała stosowny dystans. Jedno spojrzenie rzucone na pannę Alice zupełnie mi wystarczyło, abym pojął, że kłopoty ze służbą skończą się dla Waltera raz na zawsze. Można było być pewnym, że osoba taka jak ona, jeśli oczywiście Walter jej na to pozwoli, a nie było przecież żadnego powodu, żeby tego nie uczynił, nie ograniczy się tylko do funkcji guwernantki, ale sprawi, że odtąd wszystko w tym domu będzie działało sprawnie, jak w dobrze wyregulowanym zegarku. Nie

przyglądałem się zresztą długo pannie Alice, gdyż moja uwaga skupiła się na córce Waltera.

Siedmioletnia panna Lilith O'Thoole była dzieckiem delikatnym i prześlicznym. Jej drobniotka figurka odznaczała się jakąś zniewalającą, zdumiewającą zwiewnością, wyraźnie kontrastującą z powagą szarej sukienki, bardzo skromnej, surowej i co tu dużo mówić - nieładnej.

Spodziewałem się poznać dziecko o śniadej cerze i orientalnej urodzie, tymczasem twarzyczka Lilith była kredowobiała, prawie przezroczysta, wargi blade, a pod oczami ułożyły się niebieskie cienie. Jedynymi śladami mieszanego pochodzenia dziecka były kruczoczarne włosy, zaplecione w grube warkocze, i wielkie ciemne oczy, w których wyrazie było jakieś nieuchwytnie tchnienie orientu.

Dziewczynka była cicha, milcząca i doskonale ułożona. Przy stole zachowywała się bez zarzutu, bezbłędnie operowała sztućcami, co dla kogoś w jej wieku jest nie lada osiągnięciem, jadła wdzięcznie, małutkimi kęsami, ani za szybko, ani za wolno. Nie próbowała wtrącać się do rozmowy starszych i jak na dobrze wychowaną panienkę przystało, odpowiadała tylko grzecznie na zadawane jej pytania. Nie wiem dlaczego, ale oczekiwałem, że posługiwać się będzie tym nieznośnym dla ucha anglo-indyjskim żargonem, którego tak chętnie używają ludzie stale zamieszkujący subkontynent, i dlatego byłem mile zaskoczony, gdy usłyszałem piękną angielszczyznę, jakiej nie powstydziliby się wychowanek Oksfordu czy Cambridge.

Dziewczynka zachowywała się skromnie. Oczy najczęściej miała spuszczone, ale od czasu do czasu zerkała na mnie, a że i ja także byłem nią mocno zainteresowany, nasze spojrzenia niekiedy się spotykały. Wtedy oczywiście ona natychmiast opuszczała wzrok, choć niczym nie zdradzała przy tym zmieszania.

Krótko mówiąc, Lilith wywarła na mnie bardzo korzystne wrażenie. Nie omieszkałem powiedzieć o tym Walterowi, gdy pozostaliśmy już sami.

Mój przyjaciel przyjął to z wyraźnym zadowoleniem, ale wydawało mi się, że taką ocenę córki uważa za coś zupełnie oczywistego.

Tego dnia jeszcze wiele godzin przebywałem z Walterem. Bariery, jakie ustanowił między nami czas, powoli się łamały i rozmowa nasza toczyła się znacznie swobodniej niż poprzedniego wieczora. Czułem, że dawna więź zaczyna ożywać. Z wielką ulgą zrozumiałem, że pełne odnowienie naszej młodzieńczej przyjaźni jest już chyba tylko kwestią czasu.

Koło południa rozmowę przerwała nam panna Alice.

- Przepraszam, że panom przeszkadzam, nie jest to moim zwyczajem, ale sądzę, że sytuacja jest dość wyjątkowa - powiedziała stojąc w otwartych drzwiach. - Chciałabym z panem porozmawiać.

Walter wyraźnie się zaniepokoił:

- Czyżby jakieś kłopoty z Lilith?

- Och, nie! Nie wyobrażam sobie, żeby z nią mogły być jakiegokolwiek kłopoty. To posłuszna i słodka dziewczynka. Mnie chodzi o coś zupełnie innego. Sądzę, proszę pana, że trzeba zrobić z tym porządek...

- Z czym, panno Alice?

- Ze sprawą służby, proszę pana. Żeby w tym domu wszystko toczyło się normalnie i Lilith miała odpowiednią dla takiej panienki atmosferę i warunki, potrzeba natychmiast zatrudnić kilka osób. Niezbędna jest - zaczęła wyliczać na palcach - kucharka i jeszcze jedna pokojówka, ogrodnik i oczywiście kamerdyner dla pana. To jest niezbędne minimum, bez którego ten dom się rozpadnie... - tu na chwilę zamilkła i obrzuciła mego przyjaciela wojowniczym spojrzeniem znad opadających w dół nosa okularów.

Walter, wyraźnie zmieszany, chciał coś powiedzieć, ale energiczna panna Alice nie dopuściła go do głosu.

- Tymczasem, nie licząc mnie, a ja muszę się przede wszystkim zajmować pana córeczką, jest tu tylko ta nieszczęsna Kate, która zresztą także chce odejść, i to natychmiast!

- Kate odchodzi? - jęknął mój przyjaciel. - Mój Boże!

- Zostaje, proszę pana! - triumfalnie oznajmiła panna Alice. - Już ja jej wybiłam z głowy ten niewczesny pomysł. Umiem rozmawiać z tego rodzaju dziewczynami... Ale, proszę pana, to nie rozwiązuje sytuacji. Kate wszystkiemu nie podoła, a poza tym zupełnie nie zna się na gotowaniu!

- Postaram się oczywiście jakoś to załatwić, panno Alice - powiedział Walter uśmiechając się niepewnie. - Spróbuję jeszcze dziś odwiedzić miejscowego proboszcza. Mam nadzieję, że poleci mi kogoś ze swojej parafii...

- Nie czarujmy się, proszę pana - ostro przerwała panna Alice. - Pan doskonale wie, dlaczego wszyscy, łącznie z moimi poprzedniczkami, opuścili ten dom i że w okolicy nie znajdzie się nikt, kto zechciałby tu pracować. To wykluczone! Proponuję więc coś innego. Jeżeli oczywiście nie będzie pan miał nic przeciwko temu... W stronach, z których pochodzę, ludzie są o wiele rozsądniejsi. Wielu z nich poszukuje dobrej pracy. Są to uczciwi i pracowici ludzie. Mogę więc napisać kilka listów... - zająknęła się trochę - i zobowiązuje się, że w ciągu kilku dni będzie pan miał skompletowaną służbę. Naturalnie, może mnie pan posądzać, że...

- Panno Alice! - wykrzyknął radośnie Walter - z nieba mi pani po prostu spadła! Ci, którzy mi panią polecali, mieli po stokroć rację! Jest pani naprawdę wspaniałą kobietą! Oczywiście, że się zgadzam! Daję pani całkowicie wolną rękę w tych sprawach...

- Dziękuję - odparła ze spokojną godnością. - Zapewniam, że się pan na moim wyborze nie zawiedzie... Jeszcze dziś napiszę odpowiednie listy...

- Jest jeszcze jedno, panno Alice - powiedział Walter, a w jego głosie ponownie zabrzmiał niepokój - jeśli orientuje się już pani, jakie okoliczności pozbawiły mnie służby, to czy nie obawia się pani, że ci nowi także mogą szybko zrezygnować z pracy w Harrow Manor?

- Zapewniam pana, że potrafię sobie z tym poradzić. Ludzie z moich stron są trochę inni niż tutejsi. Są znacznie rozsądniejsi... a poza tym wiem, jak z nimi rozmawiać. Nie ma się pan więc czego obawiać. Wszystko będzie w najlepszym porządku...

- A pani, panno Alice - tym razem w głosie Waltera zabrzmiał żartobliwy ton - czy pani sama nie pójdzie przypadkiem w ślady swych nerwowych poprzedniczek?

Panna Alice nie miała widać poczucia humoru. Wzruszyła ramionami i fuknęła gniewnie:

- Pan chyba żartuje, proszę pana! Proszę nie zapominać, że jestem kobietą wykształconą... Nie przypuszcza pan chyba, że ja...

- Oczywiście, że niczego nie przypuszczałem, panno Alice - Walter skwapliwie pośpieszył z wyjaśnieniami - to był tylko taki żart...

Z miny panny Alice wywnioskowałem, że nie uważa tego żartu za zbyt udany - gdy opuszczała pokój, była wyraźnie jeszcze trochę urażona.

Kiedy zamknęły się za nią drzwi, Walter wykrzyknął z niekłamanym entuzjazmem:

- Ta kobieta jest prawdziwym skarbem dla tego domu! Sposobem Achillesa przecięła to, co wydawało się dla mnie nierozwiązalnym węzłem... Zaczynam mieć nadzieję, że wreszcie skończą się te koszmarnie kłopoty ze służbą... Oby tak się stało... Zupełnie nie wiedziałem, co robić...

- Zaraz, zaraz, Walterze, o co tu właściwie chodzi? - zapytałem, nie kryjąc zaciekawienia. - Dlaczego cała służba uciekła z Harrow Manor? Co się tu wydarzyło?

Machnął lekceważąco ręką.

- Przesady, mój drogi. Ludzka głupota i zabobony rodem ze średniowiecza. Wyobraź sobie, ktoś rozpuścił pogłoskę, że Harrow Manor jest domem nawiedzonym, No... rozumiesz? Po prostu podobno tu straszy... I wyobraź sobie, że służba w to uwierzyła... Początek dał kamerdyner... Nigdy bym się po nim tego nie spodziewał. Wyglądał na solidnego zrównoważonego człowieka, a odszedł z dnia na dzień, rezygnując nawet z należnej mu pensji. Za jego

przykładem poszli i inni. Nawet guwernantki zaraziły się tą histerią...

Byłem coraz bardziej zaciekawiony.

- Na czym te tutejsze strachy mają polegać? - zapytałem.

- Och, mają być mniej więcej takie jak zwykle w takich wypadkach. Podobno ktoś czy coś, w każdym razie jakaś wyjątkowo przykra zjawia, nawiedzała ich nocami... E, nie chcę nawet powtarzać tych okropnych bredni... Ty oczywiście możesz się z tego naśmiewać, sam bym to robił na twoim miejscu... ale wyznam, że mnie wcale nie było do śmiechu, gdy po kolei zaczęli stąd uciekać. Wszyscy. Kamerdyner, pokojówki, kucharka. Nawet guwernantki... Byłem zupełnie bezradny...

Walter się mylił. Wcale nie było mi do śmiechu, bo nagle przypomniałem sobie dziwną wizytę, którą ktoś mi złożył ostatniej nocy... To, co dotąd wydawało się mi tylko niezdrowym kaprysem wyobraźni, w świetle tego, co przed chwilą usłyszałem, zaczęło nabierać zupełnie innego złowrogiego sensu... Muszę się wam przyznać, że w momencie, gdy sobie przypomniałem o nocnych przeżyciach, poczułem na plecach nieprzyjemny dreszczyk...

Oczywiście jak wszyscy słyszałem nie raz i nie dwa różne historyjki o duchach. Jak słusznie zauważył Stanley, były to zawsze opowieści z drugiej lub trzeciej ręki. Nigdy jakoś nie słyszałem ich z ust kogoś, kto by sam był ich uczestnikiem. W przeciwieństwie do Stanleya nie zajmowałem jednak w tych kwestiach skrajnie sceptycznego stanowiska. Uważałem, że być może, nie wszystkie te opowieści zmyślono. Niemniej nawet mi przez myśl nie przeszło, żebym kiedykolwiek mógł zostać wplątany w tego rodzaju wydarzenia. Doświadczenie mówiło mi bowiem, że zetknięcia z nadnaturalnymi manifestacjami nie są nigdy naszym udziałem, ani nawet nikogo, kogo znamy osobiście. Oczywiście wykluczam tu wszystkie historyjki z wirującymi stolikami. Te tak zwane seanse to tylko jeszcze jedna towarzyska zabawa, wypełniająca długie zimowe wieczory. Ani lepsza, ani gorsza od staroświeckiego „pocztyliona” czy „ślepej babki”.

Znacie mnie doskonale, moi drodzy, i wiecie, jak serdecznie nie cierpię wszelkich odstępstw od raz na zawsze ustalonego porządku i jak obce są mi wszystkie nowomodne ekstrawagancje! Możecie więc sobie wyobrazić, że nie miałem najmniejszej ochoty zostać wplątany w coś, co tak jaskrawo odbiega od wszystkiego, do czego byłem przyzwyczajony. Przyznam, że odczułem wtedy gwałtowne pragnienie natychmiastowego wyjazdu z Harrow Manor.

Oczywiście nie było jednak nawet o tym mowy. Jeszcze poprzedniego dnia obiecałem Walterowi, że pozostanę u niego co najmniej tydzień, i teraz nie istniała żadna możliwość opuszczenia tego domu. Mój nagły wyjazd byłby niesłychanym towarzyskim nietaktem. W popłochu, jaki mnie wówczas ogarnął, pomyślałem wprawdzie, żeby udać nagłą chorobę i użyć jej za pretekst do ucieczki, ale szybko poniechałem tego pomysłu, jako niegodnego dżentelmena...

Starąłem się więc nawet nie okazać, jak wielkie wrażenie wywarły na mnie słowa Waltera, i zapytałem z pozornie żartobliwą beztroską:

- A ciebie, Walterze, nic nie nawiedzało po nocach? Żadne uroczne widmo w długiej nocnej koszuli?

Uśmiechnął się i wzruszył ramionami:

- Oczywiście, że nic. Nie wierzę w takie rzeczy... Chociaż... Wiesz, spotkałem się już kiedyś z niewytłumaczalnymi zjawiskami... Ale - dodał żywo - to nie było w Anglii. W Indiach rzeczywiście zdarzają się czasem dość dziwne przypadki. Naprawdę osobliwe. Widziałem kiedyś fakira... Ale to nie ma nic do rzeczy. Tam, w Bengalu, panuje zupełnie odmienna atmosfera niż u nas. W tamtym przeklętym kraju właściwie wszystko jest możliwe i nie wywołuje zbytniego zdziwienia. Jednak w naszej starej, pocziwej Anglii... W każdym razie - roześmiał się - nie znajdujesz tu facetów zaklinających jadowite węże, sypiających na gwoździach lub wspinających się po linie, która u góry nie jest do niczego przymocowana...

Ech! nie lubię o tym wspominać... Prawdę mówiąc - dodał zupełnie innym, bardzo poważnym tonem - chciałbym właściwie wymazać z pamięci tamten przeklęty kraj i jego wszystkie niesamowitości.

Doskonale rozumiałem, jakie są przyczyny tej niechęci do wspomnień, i nie próbowałem nawet kontynuować rozmowy na ten temat.

Reszta dnia upłynęła bardzo spokojnie. Napisałem kilka listów i korzystając z poprawy pogody, spacerowałem trochę po parku otaczającym Harrow Manor oraz po najbliższej okolicy. Od rana bowiem niespodziewanie nastąpiło to nasze zadziwiające listopadowe lato, w czasie którego, jak wiecie, w samym środku dżdżystej, ponurej jesieni, na kilka krótkich dni chmury się rozstępują, trawy nabierają intensywnej zieleni, a słońce, choć niskie i oszczędne w wydzielaniu ciepła, świeci jasno. Tak było i wtedy. Bezlistne gałęzie drzew sprawiały wrażenie, że już następnego dnia pokryją się nieśmiałą, wiosenną zielenią.

Niepokój wywołany tym, co usłyszałem od Waltera, był jednak we mnie ciągle obecny i raczej rósł w miarę upływu dnia, a kiedy późnym wieczorem wkraczałem samotnie do mego pokoju, muszę wam wyznać, miałem duszę na ramieniu...

Zamknąwszy drzwi i ustawivszy świecznik na stole, rozejrzałem się po pokoju bardzo podejrzliwie. Nie wiem, czy spodziewałem się, że ujrzę gdzieś w kącie przystrojony w zardzewiałe łańcuchy szkielec kłapiący zębiskami albo że spod łóżka wyciągnie się ku mnie trupia ręka, dość że gdy niczego w tym rodzaju nie zobaczyłem, sprawiło mi to wyraźną ulgę.

W moim pokoju było miło i przytulnie. Panna Alice widać zdecydowanie ujęła ster rządów w Harrow Manor w swe ręce, bo potrafiła skłonić pokojówkę, żeby pokój był porządnie pozamiatany, a na kominku płonął świeżo rozniecony ogień. Ciepły, przyjazny blask potęgował wrażenie przytulności i bezpieczeństwa.

Obawy, jakie mnie jeszcze przed chwilą przepełniały, wydały mi się śmieszne i zupełnie bezprzedmiotowe. Na wspomnienie owego przemożnego pragnienia ucieczki, jakie mnie ogarnęło po południu, odczuwałem teraz tylko wstyd i winszowałem sobie, że mimo wszystko potrafiłem się opanować.

Niemniej jednak, gdy leżąc w łóżku znużony czytaniem, odczułem narastającą potrzebę snu, ociągałem się trochę ze zdmuchnięciem świecy. Uznawszy tego rodzaju wahania za niegodne człowieka rozsądnego, przełamałem opory. Okazało się, że mimo zgaszenia świecy w pokoju wcale nie było ciemno. Dopalające się na kominku drwa rzucały nieco blasku i pokój rozświetlony był migotliwą, czerwoną poświatą. Przez jakiś czas, zamiast spokojnie pograżyć się we śnie, oczekiwałem nie wiedzieć czego, co chwila zerkałem podejrzliwie spod odmykanych powiek i bacznie wsłuchiwałem się w mrok. Niczego jednak niespodziewanego nie ujrzałem i nie usłyszałem. Słyszałoby tylko cykanie mego zegarka, delikatne trzaski towarzyszące rozsypywaniu się w popiół dopalających się drzew na kominku i owe nieuniknione w każdym starym domostwie delikatne skrzyknięcia i jeszcze cichsze szelesty, w których nie ma nic tajemniczego, choć nie potrafimy określić ich źródła.

Uspokojony, powoli przestałem nasłuchiwać i nie wiedzieć kiedy usnąłem.

Nie umiem powiedzieć, jak długo spałem i czy mi się coś śniło. Chyba nie. A obudziłem się nagle, zupełnie tak samo jak ubiegłej nocy. Tylko przyczyna była inna. Poprzednim razem było to nieuchwytnie, choć natrętne poczucie czyjejś obecności w pokoju, tym razem zbudził mnie krzyk. Prerażający, głośny, pełen nieopisanej wprost grozy krzyk dobiegał gdzieś z głębi domu.

Poderwałem się z łóżka, momentalnie otrzeźwiony, z sercem głośno i niespokojnie bijącym... Po małej chwili krzyk się powtórzył. Tym razem był chyba jeszcze przenikliwszy i bardziej przerażający... Nie miałem już teraz wątpliwości, że to krzyczy jakaś kobieta. Po plecach przeleciał mi dreszcz lęku, ale nie było w nim nic metafizycznego...

Nie pomyślałem nawet o duchach... Wiedziałem z całą pewnością, że krzyk ten wydarł

się z gardła zwyczajnej istoty ludzkiej, która znalazła się w jakimś strasliwym niebezpieczeństwie.

Zrozumiałem, że muszę spieszyć z pomocą. Zapaliłem świecę i z lichtarzem w rękę, boso i w nocnej koszuli wybiegłem na korytarz. Kiedy tylko znalazłem się za drzwiami, rozpaczliwy wrzask, tym razem słyszalny zdecydowanie lepiej, rozległ się po raz trzeci. Nie miałem najmniejszej trudności ze zlokalizowaniem jego źródła. Dolatywał zza drzwi w drugim końcu korytarza. Bez wahania pobiegłem w tamtym kierunku. Byłem w połowie drogi, gdy nagle usłyszałem za sobą kroki. Odwróciłem się i zobaczyłem Waltera. W długiej nocnej koszuli i w szlafmocy na głowie wybiegł właśnie zza zakrętu korytarza. Zmierzał w tym samym kierunku co ja. I on był boso, ale w rękę zamiast świecy trzymał strzelbę.

Razem znaleźliśmy się pod drzwiami, zza których przed chwilą wydostawały się przerażające krzyki, teraz panowała za nimi martwa cisza.

- To pokój panny Alice - powiedział Walter i spojrzał na mnie ze strasliwym niepokojem. - Co się tam mogło stać?

- Nie mam pojęcia... Trzeba koniecznie sprawdzić...

Zdawałem sobie oczywiście sprawę, że wizyta dwóch mężczyzn w nocnych strojach w pokoju zajmowanym przez samotną kobietę, i to o takiej porze, jest czymś, co się w żadnym wypadku nie powinno zdarzyć, okoliczności były jednak tego rodzaju, że nie wahałem się złamać konwenansów. Walter był widać podobnego zdania, bo przełożywszy strzelbę do lewej ręki, zastukał mocno w drzwi i zapytał głośno:

- Panno Alice! Czy nie potrzebuje pani przypadkiem pomocy? Panno Alice... Proszę się odezwać...

Nie usłyszeliśmy żadnego dźwięku.

Walter zastukał jeszcze mocniej.

- Panno Alice! To my, proszę się nie lękać! Przybyliśmy z pomocą... Panno Alice!

Tym razem doszedł nas zza drzwi jakiś niewyraźny, prawie nieludzki bełkot...

Spojrzelśmy po sobie. Nasze oczy wyrażały zgodną decyzję. Nie było na co dłużej czekać. Należało koniecznie dostać się do pokoju i zobaczyć, co się właściwie stało guwernantce. Głośne stukanie i prośby, aby nam otworzono zostały bez odpowiedzi.

Zabraliśmy się do wyważania drzwi. Poprzednie krzyki i sprawiane teraz przez nas hałasy przerwały także kamienny sen pokojówki Kate. Otulona w szlafrok, w papilotach na głowie i z wyrazem baraniego osłupienia na twarzy przydreptała na górę. Jej obecność bardzo nam się przydała. Oddawszy dziewczynie świecę, spróbowaliśmy we dwóch sforsować drzwi. Udało się nam to dopiero po jakimś czasie. Drzwi ustąpiły wreszcie z trzaskiem i wpadliśmy do pokoju.

W pierwszej chwili nie spostrzegliśmy panny Alice. Rozesłane łóżko było puste. Strzelba, którą przyniósł ze sobą Walter, okazała się niepotrzebna. W pokoju nie było żadnego złoczyńcy. Znaleźliśmy za to pannę Alice. Skurczona, siedziała na podłodze w zakamarku między szafą a ścianą wyłożoną ciemną dębową boazerią. Długie chude nogi wystawały jej spod białej nocnej koszuli, a wielki obsyty koronkami czepek zakrywał włosy... Nie miała oczywiście okularów na nosie, za to na jej twarzy malował się wyraz obłądnego lęku. Z otwartych szeroko ust, spoza wyszczerzonych końskich zębów wydobywał się stłumiony, trwożliwy bełkot. Panna Alice dygotała na całym ciele, jakby wstrząsana malarycznymi dreszczami, a obie dłonie kurczowo przyciskała do szyi.

- Tatusiu, co się stało pannie Alice?

Pytanie to, wypowiedziane nieśmiało, ale dźwięcznym głosikiem, przerwało nasze osłupienie wywołane widokiem tego, co zobaczyliśmy w pokoju guwernantki.

Na progu stała mała Lilith i z zaciekawieniem widocznym w ciemnych wielkich oczach wpatrywała się w siedzącą na podłodze guwernantkę. W świetle jedynej świecy dziewczynka w swej długiej niebieskiej koszuli wyglądała tak ślicznie i zwiewnie, że mimo dramatycznych

okoliczności, nie mogłem odczuć pełnego tklivości zachwycenia. Mała była urocza. Jej twarzyczka tym razem nie wydawała się tak bardzo blada i wymizerowana. Na policzkach dziewczynki pojawiły się delikatne rumieńce, a dźwięczny głosik i rzeczowy ton, jakim zadała pytanie, sprawiły, że na chwilę zapomniałem o wszystkim i nie mogłem po prostu oderwać wzroku od uroczego zjawiska.

Walter podszedł do córki i otoczył ją ramieniem:

- Obudziłaś się, skarbie... Nie bój się. Panna Alice zachorowała, ale zaraz wszystko będzie w porządku... Wracaj do siebie, ptaszynko... - Poglądził dziewczynkę delikatnie po rozplecionych lśniących czarnych włosach i zwrócił się do pokojówki, która przypatrywała się wszystkiemu w niemym osłupieniu: - Kate – powiedział - postaw świecę na stole i zaopiekuj się panienką. Odprowadź ją do sypialni i przypilnuj, żeby usnęła...

Musiał ze trzy razy to powtarzać, zanim polecenie dotarło do ogłupiałej dziewczyny i wyprowadziła Lilith z pokoju.

Zbliżyliśmy się do panny Alice, aby udzielić jej pomocy. W pierwszej chwili guwernantka zareagowała na nasz widok trwożnym jęknięciem i dopiero po jakimś czasie zaczęła zdawać sobie sprawę, kim jesteśmy i że nie mamy zamiaru wyrządzać jej krzywdy. Powoli wyraz obłędnego lęku jął znikać z jej twarzy, a drgawki wstrząsające chudym ciałem poczęły ustawać. Kiedy wreszcie zdecydowała się odjąć od szyi kurczowo dotychczas do niej przyciśnięte ręce, zobaczyliśmy krew. Krew plamiła szyję i dłonie panny Alice. W pierwszej chwili myśleliśmy, że guwernantka jest poważnie ranna, ale szybko stwierdziliśmy, że skaleczenia, choć dalej krwawią, są dość powierzchowne. Zrazu nie potrafiłem zrozumieć, jak te ranki powstały, ale potem zauważyłem długie paznokcie guwernantki, więc doszedłem do wniosku, że musiała się sama pokaleczyć przyciskając kurczowo ręce do szyi.

Sporo czasu minęło, zanim udało się nam wyprowadzić pannę Alice ze stanu, w jakim ją zastaliśmy. Ułożyliśmy guwernantkę na łóżku i okryliśmy starannie kołdrami, aby się trochę rozgrzała. Potem poiliśmy ją whisky i mocną herbatą, którą przyrzadziła Kate, gdy już uspiła małą Lilith. Przez cały czas przemawialiśmy do panny Alice możliwie jak najłagodniej, zapewniając, że nic już jej nie grozi.

Odezwała się dopiero o świcie.

Słabym, ledwie słyszalnym głosem poprosiła, byśmy opuścili jej pokój, gdyż pragnie się ubrać. Gdy już byliśmy w drzwiach, zawołała niespodziewanie głośno:

- Błagam, niech panowie nie odchodzą od drzwi... proszę tam na mnie zaczekać... bardzo proszę...

Spełniliśmy jej prośbę. Toaleta, jak wiecie, zajmuje damom mnóstwo czasu, więc spodziewaliśmy się, że przyjdzie nam postać na tym korytarzu dosyć długo. Panna Alice jednak uwinęła się nadspodziewanie szybko. W dodatku zdążyła jeszcze spakować swoje rzeczy. Gdy mniej więcej po dziesięciu minutach opuszczała pokój, była kompletnie ubrana i wyniosła ze sobą dwa sakwojaże, z którymi poprzedniego dnia rano zawitała do Harrow Manor.

Była w pełni opanowana. Tylko leciutkie, prawie niezauważalne drżenie głosu i trupia bledość jej twarzy zdradzały niedawne przeżycia.

- Panie O'Toole - powiedziała - nigdy jeszcze nie zawiodłam niczyjego zaufania. Zobowiązałam się tu pozostać, a także pomóc panu zorganizować normalne życie w Harrow Manor. Bóg mi świadkiem, że miałam najlepsze chęci i zamierzałam szczerze wywiązać się z tych zadań... Niestety, muszę pana pożegnać. Nie potrafię pozostać w tym domu ani godziny dłużej... Rozumiem teraz doskonale wszystkich, którzy stąd odeszli. To jest bardzo zły dom. Ten dom jest naprawdę nawiedzony... Niech się pan strzeże, panie O'Toole. Niech pan strzeże tego niewinnego dziecka... Pan powinien natychmiast, ale to natychmiast zabrać córkę i wyjechać stąd... Być może, niewinność chroni dotąd to słodkie dziecko od najgorszego... Nie daj Boże jednak, żeby dziewczynka zobaczyła i przeżyła to, co stało się moim udziałem... To byłoby okropne... Och, nie mogę sobie tego nawet wyobrazić...

Próżno jednak nalegaliśmy, żeby powiedziała nam wreszcie, co się właściwie zdarzyło tej nocy w jej pokoju. Zacięła się w sobie i milczała na ten temat jak grób.

Godzinę później po energicznej pannie Alice nie było już w Harrow Manor nawet najmniejszego śladu.

Kate odeszła po południu. Przygotowała nam jeszcze obiad i podała go do stołu. Potem oświadczyła stanowczo, że prosi o wypłacenie należnych poborów, gdyż ma zamiar odejść, i to natychmiast. Z tępą, zaciętą miną nie reagowała na żadne prośby Waltera. Wpatrując się ponuro w podłogę, na wszystkie argumenty odpowiadała z uporem, że panna Alice, która była taka niby mądra i wyśmiewała ją poprzedniego dnia, dziś sama jednak uciekła, a ona, Kate, nie ma zamiaru czekać aż to „coś”, co wszystkich już stąd wypłoszyło, zadusi ją jeszcze tej nocy...

- Już ja swoje wiem, proszę łaskawego pana. Teraz na mnie byłaby kolej. Nie zostanę tu na pewno...

I nie pozostała. O zmierzchu w Harrow Manor były już tylko trzy osoby. Walter, ja i mała Lilith. Z ciężkim sercem zdecydowałem się wyjawić Walterowi, co o tym wszystkim myślę.

- Nie chcę niepotrzebnie wtrącać się do czyichś spraw, Walterze - powiedziałem - ale sądzę, że w tym, co mówiła panna Alice, jest wiele prawdy. To rzeczywiście zły, nawiedzony dom. Panna Alice z pewnością nie należała do osób, które by się przelękły byle czego, a sam widziałeś, do jakiego stanu została tej nocy doprowadzona... Ci wszyscy, którzy uprzednio odeszli, też chyba mieli jakieś poważne powody. W dzisiejszych czasach nie rzuca się bez istotnej przyczyny dobrej, wysoko płatnej pracy... Zresztą wyznam ci, że i ja sam zauważyłem w tym domu coś niedobrego... Dotąd nie chciałem zawracać ci tym głowy, ale obecnie uważam za swój obowiązek powiedzieć, co mi się przydarzyło pierwszej nocy spędzonej pod tym dachem...

Opowiedziałem mu swoje przeżycia. Słuchał uważnie, ze zmarszczonymi brwiami.

- Wtedy, chciej zauważyć - dodałem na zakończenie - wtedy nie miałem nawet najmniejszego pojęcia, że dom ten cieszy się złą sławą i dzieje się tu coś niedobrego... Nie ma więc mowy o tym, że tylko wyobraziłem sobie tę nocną wizytę pod wpływem zasłyszanych opowieści...

- Cóż więc mi radzisz zrobić, Haroldzie? - zapytał cicho i spojrzał mi w oczy.

- Co radzę? Radzę koniecznie posłuchać panny Alice. Nie wolno dopuścić, aby Lilith przeżyła coś takiego jak panna Alice albo ja... Czy wyobrażasz sobie, jak straszliwe skutki mogłoby to spowodować w duszy i umyśle delikatnego, niedojrzałego dziecka? Nie wolno ci ryzykować... Musisz natychmiast zabrać córkę i wyjechać. Wyjechać jeszcze dziś...

Pokiwał głową z aprobatą.

- Zgadza się z tobą całkowicie, Haroldzie. To rzeczywiście jedyne wyjście. Wyjadę stąd i nigdy moja noga tu nie postanie. Niech ogień spali to przekłete miejsce!... Niestety - bezradnie rozłożył ręce - dziś jest to już niemożliwe. Wyjedziemy jutro rano. Jak najwcześniej oczywiście...

- Dlaczego nie dziś?

- Ostatni pociąg odjechał ze stacji St. Mary's Moor przed godziną... Najbliższy będzie jutro rano... Musimy spędzić tu jeszcze jedną noc. I powiem ci, Haroldzie, jestem pełen niepokoju. Nie o siebie... Boję się o Lilith... Już ci raz powiedziałem, że ta mała jest dla mnie wszystkim.

- Podaj mi rękę, Walterze - oznajmiłem z mocą - zrobimy wszystko, aby tej nocy zapewnić twojej córce całkowite bezpieczeństwo. Będziemy przy niej obaj czuwać. Żaden upiór nie będzie niepokoił twego dziecka

- Dziękuję ci, przyjacielu - powiedział z prostotą Walter i mocno uścisnął mi dłoń.

Do późnego wieczora przebywaliśmy obaj w towarzystwie dziewczynki. Mała, nieświa-

doma niczego, spokojnie bawiła się swoimi lalkami, deklamowała nam wierszyki i śpiewała śliczne piosenki, a ja coraz bardziej odczuwałem skurcz bolesnej trwogi na myśl, że ta rozkozsza dziewczynka, uosobienie dziecięcej niewinności, mogłaby się stać ofiarą agresji jakiejś złowrogiej, nadnaturalnej siły.

Obaj z Walterem nadrabialiśmy minami, starając się niczym nie mieć radości rozbawionego dziecka, ale przynajmniej ja, co chwila rozglądałem się niespokojnie po kątach i nie mogłem oprzeć się narastającemu przeświadczeniu, że gdzieś obok, w obrębie tych ścian, w tym bardzo angielskim, tradycyjnym wnętrzu, które jeszcze niedawno wydawało mi się tak przytulne, pogodne i bezpieczne, czai się do skoku jakaś złowroga siła...

W końcu dziewczynka zaprzestała zabawy i powiedziała ojcu, że chce się już położyć spać.

Walter pomógł jej się rozebrać, ułożył w łóżeczku i czuwał przy niej, aż zasnęła. Potem wyszedł na palcach z jej pokoju pozostawiając za sobą nie domknięte drzwi. Czekałem na korytarzu.

- Będziemy tu czuwać - powiedział. - Ustawimy fotele obok wejścia i spędzimy w nich noc. Będziemy blisko małej... Nikt i nic nie powinno zaatakować... Zostawiłem zresztą zapalone świece w jej pokoju. Podobno - próbował się uśmiechnąć - ciemne moce nie lubią jasności...

Zasiedliśmy w fotelach po obu stronach uchylonych drzwi, zza których padał na korytarz ciepły blask świec. Rozmawialiśmy półgłosem, a właściwie szeptem, żeby nie zbudzić śpiącej dziewczynki. Byliśmy w dalszym ciągu pełni wewnętrznego napięcia, lecz burzliwe przeżycia uprzedniej nocy i męczący dzień sprawiły, że nasze organizmy coraz gwałtowniej domagały się wypoczynku. Przerwy w rozmowie stawały się coraz dłuższe, a w pewnej chwili Walterowi wyrwało się dyskretne ziewnięcie.

- Nie ma sensu, Walterze - zaproponowałem - żebyśmy czuwać wspólnie. Możemy na zmianę podzierać. Spróbuj zasnąć i trochę odpocząć. Obudzę cię za godzinę...

Chwilę protestował i zapewniał, że ma dość siły, aby czuwać do rana, ale w końcu przystał na moją propozycję. Umilkliśmy, a po kilku minutach usłyszałem, jak zmienia mu się rytm oddechu. Usnął. I ja byłem senny, ale oczywiście wiedziałem, że nie wolno mi się poddawać znużeniu. Bezpieczeństwo i spokój niewinnego dziecka zależały ode mnie... Żeby nie ulec rosnącej senności, zacząłem intensywnie myśleć o rozmaitych wydarzeniach z przeszłości. Wiedziałem z doświadczenia, że takie wspominki nie raz i nie dwa nie pozwoliły mi usnąć. Przypomniałem sobie między innymi zadanie matematyczne, które kiedyś, jeszcze w Eton, sprawiło mi wiele kłopotów. Pamiętałem tylko treść zadania i wynik ostateczny. Zacząłem się więc zastanawiać, w jaki sposób do tego wyniku doszedłem. Okazało się, że to już całkowicie wyleciało z mej pamięci...

W trakcie tych matematycznych rozważań, wstyd mi to przyznać jeszcze i dziś... usnąłem. To znaczy zdrzemnąłem się chwileczkę. Na bardzo krótko. Obudził mnie ostry ból szyi. Otworzyłem oczy i nie krzyknąłem tylko dlatego, że potworny strach sparaliżował mi gardło... Coś niewypowiedziane wstrętne siedziało mi na piersi... To coś było żywe, lepkie i bardzo, ale to bardzo ohydne... Czułem na sobie obrzydliwe dotknięcie jakiegoś galaretowatego ciała, zimnego i pokrytego wilgotnym śluzem. Jednocześnie nozdrza wypełnił mi ostry, dziwaczny zapach. Taki sam, jaki już poczułem pierwszej nocy spędzonej w Harrow Manor. Tym razem woń była stokroć silniejsza. W nagłym rozbłysku świadomości pojąłem, że ten ohydny zapach za chwilę oszołomi moje zmysły i będę niezdolny do stawienia jakiegokolwiek oporu...

Rozpaczliwym, ostatnim wysiłkiem spróbowałem zrzucić z siebie gniotący mnie ciężar. Udało się! Ta nieokreślona istota, która zaatakowała mnie tak podstępnie, dała jednak za wygraną. Przez chwilę zobaczyłem jeszcze przed sobą parę wielkich zielonych oczu wpatrujących się we mnie z bezbrzeżną nienawiścią, dostrzegłem też niewyraźny, półprzezroczysty

zarys jakiejś postaci, a potem wszystko rozwiało się bez śladu... Tak, rozwiało. Takie właśnie wtedy odniosłem wrażenie... Na poły sparaliżowany wspomnieniem widoku tych okrutnych, rozświetlonych zielonym ogniem oczu, w których gorzało całe zło piekieł, dopiero po kilku sekundach zdołałem wydobyć głos ze ściśniętego grozą gardła.

- Walter! - zawołałem...

Poderwał się w jednej sekundzie.

- Co się stało? - zapytał przerażony.

- Zostałem zaatakowany...

- Co z Lilith? - wykrzyknął i nie czekając na odpowiedź poderwał się z fotela i jednym susem dopadł drzwi pokoju córki.

Z sercem ściśniętym nagłym lękiem o dziewczynkę pobiegłem za nim. Ale po chwili odetchnąłem z ogromną ulgą. Wszystko było w porządku. Trzy woskowe świece w lichtarzu na stoliku oświetlały sypialnię dziewczynki ciepłym jednostajnym blaskiem. Lilith obracała się właśnie na drugi bok. Spała smacznie uśmiechając się przez sen. Na podłodze obok łóżka leżała kołdra, którą dziewczynka musiała zrzucić z siebie. Walter podniósł ją i z wielką czułością, bardzo delikatnie otulił nią spokojnie śpiące dziecko.

- Śpij spokojnie, moja mała - szepnął. Potem spojrzał na mnie i nagle twarz mu się zmieniła: - Boże! Haroldzie! Ty krwawisz! - wykrzyknął zduszonym półgłosem.

Dziewczynka niespokojnie poruszyła się we śnie. Przykładając palec do ust wskazałem głową na śpiące dziecko i nakazałem milczenie. Potem dotknąłem swej szyi. Na palcach pozostały mi rubinowe ślady krwi... Okazało się, że z prawej strony szyi, w pobliżu tętnicy, miałem dwie niezbyt głębokie, ale dość silnie krwawiące ranki. Skaleczenia te zagoiły się bardzo szybko pozostawiając jednak małe, ale do dziś dobrze widoczne szramki. Możecie je zresztą obejrzeć - podciągnąłem trochę kołnierzyk i pokazałem blizny.

Do rana nic nadzwyczajnego już się nie wydarzyło. Po śniadaniu wszyscy troje wyjechaliśmy pociągiem z St. Mary's Moor, a Walter uroczyście przysięgał, że jego noga nigdy więcej nie stanie w Harrow Manor i że sprzeda przez pośrednika tę piekielną rudę, o ile oczywiście znajdzie się ktoś naiwny, żeby kupić dom, w którym straszy...

Na dworcu w Polchester rozstałem się z Walterem i jego córką. Oni udali się do hotelu, ja wsiadłem do londyńskiego pociągu...

I tak się skończyła ta niesamowita historia. Jak więc widzisz, Stanleyu, nie należy wygłaszać zbyt pochopnych sądów. Być może, w wielu tak zwanych nawiedzonych domach przyczyną strachów są rzeczywiście hasające szczury. Zdarzają się jednak i inne wypadki. Widziałem prawdziwie nawiedzony dom i na własnej skórze, i to dosłownie - dotknąłem palcem blizn na szyi - przekonałem się, że prawdą jest to, co mówił stary Szekspir o rzeczach, o których nie śniło się filozofom...

Myślę, że gdyby dobrze poszperać w starych dokumentach, pewnie i można by było ustalić co lub kto straszy w Harrow Manor. Mogły się zachować jakieś legendy, tradycje... Być może, popełniono tam kiedyś jakąś straszną zbrodnię...

- A co sądzi o tym twój przyjaciel? - zapytał Stanley. - Ten dom jest, a w każdym razie był jego własnością. I on miał największe możliwości poznać historię tego domu.

- Nie wiem. Nigdy więcej nie widziałem Waltera.

- Jak to? Nie rozumiem...

- Otóż nie spotkałem go już więcej... Gdy rozstawaliśmy się w Polchester, nie wiedział jeszcze, dokąd się uda. Obiecał, że wkrótce do mnie napisze. Nigdy już jednak nie dostałem od niego listu. Muszę wyznać, że sprawiło mi to wielką przykrość i rozczarowanie... Liczyłem na odnowienie starej przyjaźni... Niestety, jakoś nic z tego nie wyszło - rozłożyłem bezradnie ręce. - Trudno. Takie już jest życie...

Zapanowało długie milczenie, przerywane tylko pykaniem naszych fajek. Pierwszy odezwał się Pearcy.

- Mylisz się, Haroldzie – powiedział - gdy sądzisz, że można łatwo ustalić, kto i dlaczego straszył w Harrow Manor. To uroczy, spokojny dom. Nigdy przedtem ani potem nie wydarzyło się w nim nic tajemniczego. Nie istnieją żadne zapiski ani żadna ponura legenda związana z tym miejscem. Spędziłem tam uroczy miesiąc u swych przyjaciół wiosną roku 1885. Zapewniam cię, że ani mnie, ani nikogo z domowników nie niepokoiły nigdy żadne upiory. Mój przyjaciel kupił ten piękny dom za śmiesznie niską cenę. Jego poprzedni właściciel pozbył się go tak tanio dlatego, że rzekomo coś w nim straszyło. Mój przyjaciel zaryzykował... i wygrał. Przedtem dokładnie zbadał przeszłość Harrow Manor. Okazało się, że od momentu zbudowania aż do czasów ostatniego właściciela jego kolejni posiadacze żyli w nim długo i szczęśliwie, i to bez żadnych metapsychicznych kłopotów... Obecni zresztą też... Dostałem właśnie list od mego przyjaciela, który zaprasza mnie do Harrow Manor na święta. Oczywiście chętnie skorzystam z okazji...

- Więc twierdzisz - wykrzyknąłem w najwyższym zdumieniu - że ten dom nie jest nawiedzony?!

- Z całą pewnością nie jest - stanowczo oświadczył Percy. - To piękny, stylowy i bardzo pogodny dom...

Nie wiedziałem zupełnie, jak zareagować na usłyszane rewelacje, i chyba było widać to po mojej minie, gdyż milczący dotąd profesor Lund uśmiechnął się lekko i powiedział:

- Wydaje się, że chyba będę mógł służyć panu wyjaśnieniami. Jak panu zapewne wiadomo, londyńskie Towarzystwo Metapsychiczne zbiera informacje o wszystkich wydarzeniach i faktach, które trudno w pełni wytłumaczyć na drodze naturalnej. Tak się szczęśliwie złożyło, że mam przy sobie pewien wycinek ze starej gazety. Może zechce się pan z nim zapoznać... - Wyciągnął portfel i wydobył z niego starannie złożoną zadrukowaną kartkę. - To pochodzi z numeru „Polchester Weekly News” ze stycznia roku 1884. Proszę przeczytać.

Założyłem okulary i przeczytałem co następuje:

W zeszłym tygodniu zdarzył się w naszym mieście wypadek tajemniczego zgonu: którego przyczyny jak dotąd nie potrafiiono wyjaśnić. Być może, zapowiedziana na przyszły tydzień rozprawa przed koronarem doprowadzi do jakichś wiążących ustaleń. Na razie sytuacja wygląda następująco: W hotelu „Pod Różą” od kilku tygodni mieszkał wraz z córką pan Walter O'Toole, dżentelmen, który niedawno powrócił do kraju po wieloletnim pobycie w Indiach. Rankiem drugiego stycznia znaleziono go nieżywego we własnym łóżku. Jak stwierdziła autopsja, przyczyną zgonu było całkowite wykrwawienie organizmu, przy czym na łóżku, na którym spoczywał zmarły, znaleziono tylko bardzo nieznaczne ślady krwi. Jedynym zewnętrznym obrażeniem stwierdzonym na zwłokach były stosunkowo niewielkie ranki na szyi zmarłego, przypominające ukąszenia jakiegoś niezbyt dużego zwierzęcia z rodzaju łasicowatych. W pokoju wyczuć można było silną nie zidentyfikowaną woń, której pochodzenia nie udało się ustalić. Śpiąca w sąsiednim pokoju siedmioletnia córeczka zmarłego mimo otwartych przez całą noc drzwi łączących oba pomieszczenia nie obudziła się w nocy i nic nie zauważyła.

Odsunąłem od oczu gazetowy wycinek i zdjąłem okulary. Byłem wstrząśnięty.

- Biedny Walter... - powiedziałem - a ja miałem do niego żal, że do mnie nie pisze... Taka straszna-śmierć... Nie potrafię tego pojąć... - zamilkłem na chwileczkę, a potem krzyknąłem olśniony nagłym zrozumieniem: - Ach! Więc to było to samo! - odruchowo dotknąłem blizn na szyi. - Miałem w takim razie szczęście. Wielkie szczęście... Nie pojmuję jednak, co to wszystko znaczy... Co właściwie zabiło Waltera?

Profesor Lund przyglądał mi się z wielką uwagą.

- Słyszał pan o wampiryzmie? - zapytał. - W Indiach, a zwłaszcza w Bengalu jest to wiara dość rozpowszechniona... Kobiety podejrzane o wampiryzm, to znaczy o to, że nocami ich ciała opuszcza coś w rodzaju duszy i syci się krwią innych ludzi, są bezlitośnie zabijane.

Bengalczycy wierzą, że jedynym skutecznym sposobem ostatecznego rozprawienia się z wampirzycą jest zadbanie o to, żeby w chwili śmierci miała na sobie trzy wieńce splecione z kwiatów lotosu...

- A więc... - wyjąkałem, pojmując, do czego zmierza profesor - a więc, przypuszcza pan... że żona Waltera była wampirem... Że... - zająknąłem się - potem jej duch spowodował...
- zamilkłem, gdyż sformułowanie straszliwej prawdy nie chciało mi przejść przez usta.

Profesor sprawiał wrażenie lekko zniecierpliwionego.

- O jakim duchu pan mówi?

- O duchu żony Waltera oczywiście...

- Duch żony Waltera nie ma z tą historią nic wspólnego. Przecież wampirzyca została unieszkodliwiona z zachowaniem wszelkich reguł wymaganych w takich wypadkach. Ci, jak ich pan nazwał, thugowie nie zapomnieli o wieńcach z lotosu... Widać nie orientuje się pan w wierzeniach Bengalczyków. Oni są święcie przekonani, że wampiryzm bywa dziedziczny, i to w linii matrylinearnej...